



**HELENA
SEKUŁA**



PIERŚCIEN Z KRWAWNIKIEM

Helena Sekuła

PIERŚCIEŃ Z KRWAWNIKIEM

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-14-4

Copyright © Helena Sekuła

Projekt okładki: Marcin Labus

Sezam

Stalowe łapy podnośników wpierają się w betonowy strop, sklepienie ugina się i pęka pod ich naporem. W przegrzanym powietrzu kotłuje się szary, wapienny pył, przysłaniając skąpe światło zawieszanej pod sufitem żarówki. Kurz opada powoli, osiada na spoconych twarzach, wciska się w usta, zatyka nozdrza.

Czterej mężczyźni rytmicznie naciskają uchwyty lewarków, lecz promieniste pęknięcia na suficie nie powiększają się.

– Sakra! – stęka zwalisty mężczyzna, prostując plecy. – Nie sięga! – zadarłszy głowę, wskazuje stalowe rury, na których są przymocowane tarany lewarków.

– Ano, nie sięga – z flegmą przyznaje drugi mężczyzna, o mocnej budowie i gęstych, ciemnych włosach. – Za krótkie wsporniki, sądząc na oko, brakuje ze dwadzieścia centymetrów...

– Na oko! – denerwuje się tamten. – To takie rozeznanie szef zrobił, na oko?!

– Spokojnie, Pat! – mruczy szef.

– Co robimy, trzeba coś wymyślić! – Pat nalega już z paniką w głosie.

– Przestań się trząść, gnoju! – sarka szef. – Nie jesteś od myślenia. Idź! – popycha go lekko ku drzwiom. – Zobacz, co słyhać u Żaczka, i zajrzyj do strażnika.

Szef omiata spojrzeniem zagraconą piwnicę – to kotłownia. W rogu wysypisko koksu, po kątach pogięta blacha niewiadomego przeznaczenia, jakieś żelastwo. Z jednej strony przyrmę koksu odgradza ścianka z surowych, nie heblowanych desek.

– No, co się gapicie, jak... – szef ruchem dłoni wzywa dwóch pozostałych mężczyzn.

– Żeberko – rozkazuje krępemu – wyciągnij te dechy. Nul! – ponagla drugiego – obniż wsporniki i podłóż drewno pod podstawy, żywo...

Na tę krzątanicę powraca Pat.

– Sinieje – oznajmia lakonicznie, obserwując przygotowania kolegów, i zaraz rozjaśnia mu się tępa twarz, zrozumiał bowiem, że nieprzewidziana przeszkoda zostanie zaraz usunięta.

– O czym ty bredzisz? – niecierpliwi się szef.

– Żaczek wartuje, wszystko w porządku, tylko strażnik, tego... chyba knebel ma za głęboko, więc posiniał... – duka Pat.

– Ach, ty bałwanie! – wrzeszczy szef i wybiega z kotłowni.

Na parterze obok zaryglowanych drzwi wejściowych, z pistoletem w dłoni, przechadza się Żaczek. Jest bez maski, za to w służbowej czapce strażnika.

– Coś się stało? – niepokoi się widząc wzburzenie szefa.

– Ty, kowboj, opuść tę rurę – szef wskazuje broń – bo jeszcze ci sama wystrzeli! – naciąga na głowę kawał czarnej pończochy z otworami na oczy, mija Żaczka i śpieszy do dyżurki.

Pod ścianą leży skrępowany sznurami strażnik. Jego posiniała twarz ocieka potem, nieruchome oczy wychodzą z orbit.

– Nie będziesz krzyczał? – czarna maska pochyla się nad nim. Ciemnooksydowany rewolwer lśni w dłoni.

W umęczonym spojrzeniu strażnika pojawia się groza; kołysze głową na znak, że nie będzie krzyczał.

Szef rozwiązuje szal, spowijający jego twarz, i wyszarpuje z ust szmaciany kłęb. Skrępowany człowiek, ciężko dysząc, obлизuje suchym językiem spieczone wargi.

– Chcesz pić? – domyśla się szef; strażnik potwierdza, przymykając powieki – boi się szepnąć nawet słowo.

Szef unosi mu głowę i przytyka do spierzchniętych ust fajansowy garnuszek pełen wody.

– Zabiję cię tylko w jednym wypadku – mówi z naciskiem – jeżeli piśniesz choć słowo... konieczność, rozumiesz? Nie jestem bandytą – w tej scenerii owo zapewnienie brzmi groteskowo – rozumiesz?

Tamten głośno przełyka kolejny haust wody i znów daje znak powiekami.

Gdy szef wraca do kotłowni, na kawałkach tarcicy ustawiono już podstawy podnośników, i znów ich ramiona z hartowanej stali, z siłą siedmiu ton każde, nacierają na strop; sypie się wapienny miął, spadają coraz większe okruchy, a po chwili wali się lawina betonowego gruzu. Łapy podnośników taranują sklepienie, w którym tworzą się dwa niesymetryczne wyłomy. Jeszcze jedno uderzenie i w suficie ziele szeroka wyrwa.

– Drabinka – rozkazuje szef.

Nul niczym akrobata wspina się po wsporniku i zamocowuje u góry sznurowy trap. Oparty stopą o jego szczelbel, lekko huśtając się na nim, do połowy znika w ciemnej czeluści.

– Można swobodnie wejść – zawiadamia po chwili.

– Żeberko z palnikami, do góry – komenderuje szef. – Pat, złożysz lewary i przyjdiesz do nas – śpieszy za tamtymi po chybottliwych stopniach drabinki.

Przedostają się do niskiego pomieszczenia bez okien; pod ścianami stoją ciasnym szeregiem potężne szafy pancerne.

– Do roboty – przynagła szef, wskazując pierwszy z brzegu sejf. Sam podobnie jak i oni osłania twarz maską spawacza i uruchamia acetylenowy palnik. Prawie jednocześnie syczą trzy osłepiające płomienie, liżąc pancerze kas.

Z otworu gramoli się Pat z czwartym palnikiem i stertą przerzuconych przez ramię worków. Ciska je na podłogę.

– Pruj następną – poleca szef.

W milczeniu zmagają się z ognioodpornym metalem. Ciszę mąci tylko szum palników. Powietrze gęstnieje w pozbawionym wentylacji pomieszczeniu. Od wyziewów płomieni robi się gorąco, strugi potu zalewają oczy, lepią się koszule do mokrych grzbietów.

– Nul, zmniejsz płomień! – rozkazuje wszyskkowidzący szef.

– Mniejszym płomieniem do rana nie spruję – mruczy tamten.

– Sprujesz, a takim dużym na pewno nadpalisz banknoty.

– Mieć by tak laser – wzdycha Nul, regulując palnik.

– Laser! Ledwo sobie radzisz z acetylenem – uśmiecha się szef. On jest najbardziej biegły w operowaniu palnikiem; na powłoce sejfu, który atakuje, już powstają szczeliny, tworzące prawie idealny kwadrat, o nieco tylko postrzępionych brzegach. Delikatnie przeciąga po nich palcem – dłonie ma obciążnięte w miękkie irchowe rękawiczki – i gasi płomień. Płaskim, stalowym, pilnikiem podważa ową płaszczyznę i kawał pancerza głucho wali się na podłogę. Z otworu kasy sypią się paczki nowiutkich, opiętych banderolami tysiączłóówek.

– Sezam – szepcze z nabożną czcią Żeberko. Nul i Pat przerywają robotę, również zafascynowani tą obfitością.

Szef kilkoma coraz bardziej niecierpliwymi ruchami wygarnia zawartość szafy. Nerwowo przerzuca paczki, grzebie w nich jak w bezwartościowej makulaturze.

– Prosto z mennicy – klunie z irytacji.

– Mnie to nie przeszkadza – zaciera ręce Pat.

– Przeszkadza, barania głowo, jeszcze jak przeszkadza... te pieniądze są nie do wydania, przynajmniej przez kilka lat... to całe serie... Nul, ładuj to do worka i na dół!

Cztery kasy wypchane są po brzegi paczkami banknotów – ale wszystkie bilety bankowe są prosto spod prasy; te pieniądze jeszcze nie były w obiegu.

Szeffa ogarnia wściekłość, z niepokojem spogląda na wskazówki zegarka. Prawie z desperacją wybiera na chybił trafił jeszcze jedną kasę.

– Spróbujcie tę – rozkazuje. Z napięciem obserwuje gorączkowe zabiegi kompanów, którzy też rozumieją, że to nic pewnego. Kas jest łącznie trzydzieści i nikt nie wie, w której mogą być złożone używane banknoty. Niepodobieństwem jest rozpruć i skontrolować je wszystkie.

Tym razem dopisuje im szczęście. Wprawdzie szafa nie jest tak wypchana, jak tamte, ale zawiera pokaźny stos paczek podniszczonych banknotów o różnych seriach. Wartość poszczególnych odcinków jest bardzo różna. O ile na poprzedni łup składały się tylko bilety tysiąc i pięćset złotych, o tyle tutaj znajduje się także sporo stu-, pięćdziesięcio-, a nawet dwudziestozłówek.

– Szefie, jeszcze jeden sejf – Żeberko zwilża językiem suche wargi; ma wypieki, oczy płoną mu jak w gorączce.

– Jeszcze tylko jeden – przyłącza się do prośby tamtego Nul ochrypłym, błagalnym głosem.

Szef śledzi wskazówkę stopera, waha się pełen sprzecznych uczuć. Ogarnia go nieprzeparte pragnienie, aby zedrzeć pancerne osłony z najbliższej szafy... i z tamtej, stojącej w rogu, i z tej, i z tej... Jego ciemne oczy, zaczerwienione od pyłu i płomieni palników, przewiercają stalowe powłoki, ogarniają wnętrza kas; nieświadomie kurczące się palce już wygarniają gładkie, śliskie paczki papieru, mającego taką moc...

Zwierają mu się szczęki, czuje suchość w gardle, z trudem przełyka ślinę. Nagle uświadamia sobie, że jego twarz płonie tak jak tamtym, jak tamtych ogarnęła go potężna, niszcząca żądza posiadania. Jeszcze chwila, a zatracą się w niej wszyscy, jeszcze chwila, a nie zapanuje nad nimi, skoro już prawie nie panuje nad sobą.

– Dość! Czas minął – krzyczy nagle, a jego głos wznosi się nienaturalnym falsetem.

Posłuchali niechętnie; jak lunatycy przepychają przez wyłom na dół ostatni, pękaty worek.

W stanie najwyższego napięcia, czujni na najśłabszy szelest, wymykają się pojedynczo, objuczeni łupem; droga prowadzi przez piwniczne korytarze, na zewnątrz wiodą niskie, okute blachą drzwi, umieszczone prawie na poziomie fundamentów. Dalej przez pochyłą betonową rynnę, aż do ogrodzenia z siatki.

Bryła gmachu rzuca z tej strony głęboki cień. Za parkanem stoi Pat i odbiera od kamratów ciężkie pakunki.

Otrząsają się wreszcie z nastroju, który paraliżował ich tam na górze. Teraz działają sprawnie, stosując się do precyzyjnie ustalonego i od dawna przeciwiczonego planu.

Zegar na wieży kościoła wydzwania dwa dźwięczne takty; ich donośne, czyste brzmienie niesie się z wielokrotnione echem, w którym rozpływa się warkot uruchomionego samochodu.

– Cholera, już dnieje – klnie znad kierownicy szef. Reszta siedzi ciasno stłoczona w tyle wozu wśród worków z łupem i narzędziami.

Zwiększając szybkość przejechali mostek spinający kanał, coraz dalej pozostaje biały gmach z mleczną kulą lampy nad drzwiami, oświetlającej czerwoną tablicę z napisem:

NARODOWY BANK POLSKI – ODDZIAŁ POWIATOWY W BAZANOWIE.

Na pełnej szybkości mijają rzęsiście oświetlony budynek, skąd dobiegają hałaśliwe dźwięki orkiestry.

– Zabawa jeszcze trwa – mruczy Żeberko.

– To dobrze, bałem się, że zaczną się rozchodzić właśnie teraz – odpowiada szef.

– Mamy szczęście – niemądrze cieszy się Pat.

Rzeczywiście jednak dopisuje im szczęście. Wymknęli się z miasta niespostrzeżeni, również na kilkunastu kilometrach szosy, dzielących ich od kryjówki, nie spotkali ani ludzi, ani pojazdów. Napięcie nie opuszcza ich jednak nawet wówczas, gdy dopadają kryjówki i zwalają ciężkie wory w niskosklepionej piwnicy.

– Rozbierać się! – komenderuje szef.

Na jedną stertę leci pięć par rękawiczek, butów, pięć czarnych masek, wreszcie wiatrówek, spodni, a nawet skarpetek. Przebierają się w milczeniu w inne odzienie, zawczasu przygotowane i ułożone kompletami na drewnianej ławce.

– Złodzieju! przy robocie noś tylko rękawiczki firmy Helanco, a unikniesz znajomości z prokuratorem – szef mówi to tonem, jakby wygłaszał slogan reklamowy. Uważnie ogląda każdą sztukę odzieży i pakuje ją do torby. Nagle niepokój!

– Gdzie jest szal? – nie znajduje tkaniny, którą zakneblowano strażnika.

– Wrzuciłem do narzędzi – uspokaja go Żaczek.

– Pamiętaj! – szef podaje mu pakunek z ubraniem – masz rozrzucić wszystko oddzielnie. Najlepiej zatopić, ale narzędzia musisz zatopić bezwarunkowo! Zaczynasz nie bliżej niż pięćdziesiąt kilometrów stąd. No, to z farterem! – klepie go po ramieniu. – Spiesz się, bo już cholernie jasno... do dziesiątej jesteś względnie kryty, ale wóz musi być na swoim miejscu przed szóstą rano!

Wszyscy wsłuchują się w warkot motoru samochodu, którym odjeżdża Żaczek, potem jednocześnie rzucają się do worków z łupem; bezładnie rozwiązują paczki banknotów, rozgorączkowane, drapieżne dłonie liczą, liczą, liczą...

Ustępuje wielogodzinne napięcie psychiczne; radość z posiadania tak oszałamiającej ilości pieniędzy staje się niemal histeryczna. Układają banknoty w sterty, potem jednym ruchem dłoni burzą te piramidy, jak dzikusy skaczą po rozrzuconych banknotach, tarzają się po nich, wydając nieartykułowane dźwięki, rzucają w siebie paczkami i cieszy ich widok fruujących biletów. Mąci im świadomość posiadanie zawrotnej sumy, której nawet znikomej części żaden z nich dotychczas nie miał na własność.

Tylko szefowi nie udziela się to podniecenie. Opanowany, siedzi w kącie piwnicy, pali papierosa i z pobłażaniem obserwuje zachowanie tamtych.

– No, dość tego! Przed dziesiątą musimy być daleko stąd – przypomina i starannie gasi niedopałek.

Powoli wracają do rzeczywistości, nagle oklapli, czujący ogromne znużenie, ale posłusznie, bez szemrania układają łup i maskują miejsce jego ukrycia.

– Rozchodzimy się pojedynczo, każdy do siebie – instruuje szef, rozdzielając między nich plik starych banknotów o różnej wartości i uważnie odliczając pieniądze, tak, aby nikt nie był pokrzywdzony.

– Aż do odwołania – podejmuje szef – nie spotykacie się między sobą i aż do odwołania żaden z was nie szuka kontaktu ze mną... bez względu na sytuację zachować spokój, no i w żadnym wypadku nie kręcić się w pobliżu Bazanowa. Ten teren przestał dla was istnieć... są pytania?

Pytań nie ma; wymykają się ostrożnie – szef opuszcza kryjówkę ostatni. Jest już zupełnie jasno, zachłystują się sięm swiergotem ptaki.

– Napad na bank! – wiadomość elektryzuje oficera dyżurnego, który o ósmej rano objął służbę w cichy, niedzielny poranek.

– Tu komenda powiatowa w Bazanowie, dokonano napadu na bank! – alarmuje przez selektor komendy powiatowe, sąsiadujące z Bazanowem, i komendę wojewódzką.

– Uwaga! alarm dla zmotoryzowanego oddziału – zarządza, również przez selektor, dyżurny komendy wojewódzkiej. – Zablokować drogi wokół Bazanowa... alarm dla wywiadowców służby kryminalnej i służby X...

– Napad na bank w Bazanowie! – w dziesięć minut później telegram z komendy wojewódzkiej odbiera przez linię specjalną oficer dyżurny w komendzie głównej. – Na miejsce wyjechała ekipa dochodzeniowa, na szosach działają już grupy pościgowe...

szczegóły będę przekazywał w miarę rozwoju wydarzeń – melduje dyżurny komendy wojewódzkiej.

– Przyjąłem! – potwierdza oficer komendy głównej. Przez inny telefon łączy się z prywatnym mieszkaniem pułkownika Lisa, szefa służby kryminalnej.

– Napad na bank w Bazanowie – powtarza Lisowi skąpy meldunek.

– Połącz się z komendantami województwa warszawskiego i białostockiego – poleca pułkownik – i poinformuj, że koordynacją akcji zajmie się... – namyśla się przez chwilę – major Korosz, inspektor biura kryminalnego.

Telefon pułkownika Lisa wyrywa inspektora ze snu; w kilkanaście minut później Korosz siedzi już za kierownicą samochodu i gna w kierunku Bazanowa.

Na miejscu wita go komendant powiatowy, poinformowany już o decyzji szefa służby kryminalnej.

– Będziemy razem pracowali – major mocno ściska jego dłoń. – Jedziemy do banku! Znasz już dokładną sumę strat?

– Jeszcze nie, liczą! Bankowcy twierdzą, że może brakować około piętnastu milionów... tego nie zrobili miejscowi...

– Skąd ta pewność?

– W Bazanowie żyje tylko jeden, słownie! j e d e n włamywacz-recydywista. I to marny, do tego nieprzytomny pijak. Rzadko bywa trzeźwy i na ogół partaczy swoje kradzieże – uśmiecha się komendant. – Ten napad to robota fachowców, a nie zapitego, prymitywnego złodzieja. Wyłączyli system alarmowy, a mimo to kasy rozpruwali z boków, obawiali się, że zamek może posiadać dodatkowe urządzenie alarmowe, oparte na nieznanym im źródle energii elektrycznej. A jednak musieli wiedzieć, że bank miał własne zasilanie dla systemu alarmowego. Wprowadzono to już przed kilku laty. Nasza elektrownia jest bardzo stara, często zdarzają się awarie...

– Mieli dobre rozeznanie pomieszczeń i urządzeń budynku – wtrąca major. – A więc ktoś to musiał obserwować, i to przez dłuższy czas. Mieli dobrze zorientowanego informatora...

– Informator musiał być! – przyznaje komendant. – Przemawiają za tym dwa fakty, które nie mogą być zwykłym zbiegiem okoliczności. Pierwszy: w piątek bank otrzymał poważną sumę pieniędzy. Drugi: zastępca dyrektora zajmuje mieszkanie na drugim piętrze budynku i między innymi do jego pokoju podłączona jest syrena skarbcza. Otóż ten młody człowiek posiada w Warszawie rodziców i dziewczynę. Niemal w każdą sobotę po południu wyjeżdża do stolicy i wraca w niedzielę wieczorem lub w poniedziałek rano.

– Czy ten obyczaj jest tak powszechnie znany?

– Niestety tak. Jeździ pociągiem i każdy może to zaobserwować. Niemal w każdą sobotę po pracy ludzie widują go na stacji. A zdajesz sobie sprawę, że w mieście o dziesięciu tysiącach mieszkańców osoba zastępcy dyrektora banku jest, przynajmniej z widzenia, również powszechnie znana.

– Co to za facet?

– Świetny ekonomista o nieposzlakowanej opinii.

– Kto ma klucze od skarbcza?

– Cztery osoby i każda po jednym kluczu. Są to: zastępca dyrektora, skarbnik, główny kasjer i mąż zaufania. Ale tam staranowano strop, zamków nawet nie tknięto. Praktycznie one są nie do otworzenia. Mając nawet komplet kluczy, trzeba jeszcze znać cyfrowy szyfr, a hasło ma tylko dyrektor banku.

– Nie o to mi chodzi... – namyśla się major. – Może to zrobiono prościej. Pieniądze wyjęto wcześniej, a upozorowano włamanie?

– Nieprawdopodobne – zaprzecza komendant. – Pomijając trudności techniczne chociażby z wyniesieniem łupu. Bagatela! piętnaście milionów to kilka dużych worków, a te

pięć osób to wieloletni, wypróbowani pracownicy. Ponadto wiemy już prawie dokładnie, co robili podczas tych krytycznych godzin...

– Ich rodziny, bliźni i dalsi przyjaciele, znajomi?

– Sprawdzamy – ostentacyjnie ziewa komendant.

– Gdzie znajdują się zapasowe klucze od skarbca?

– Nienaruszone. Opieczętowane w sejfie banku wojewódzkiego.

– Strażnik?

– Pogadaj z nim sam, już nieco przyszedł do siebie. Ja bym go wyłączył, ale nie chcę nic sugerować.

Strażnik ma zmęczoną, bladą twarz, zaczerwienione oczy i do krwi spękane wargi. Siada ciężko, znużonym ruchem pociera czoło, a później opuszcza ramiona w geście zupełnej rezygnacji.

– Jak to było? – zagaduje major.

– Panie... – strażnik bezradnie błądzi spojrzeniem po sportowej koszuli inspektora – panie śledczy, mnie oskarżają o znowę... Dwanaście lat przepracowałem bez słowa nagany. Niech pan patrzy! – zadziera nagle nogawki spodni, a potem podciąga rękawy – czy tak się traktuje współnika? – opuchnięte ręce i nogi przecinają fioletowe pręgi od sznurów. – Ludzie, czterdzieści lat na świecie żyję, a nie sięgnąłem po cudze nawet tyle, co czarnego za paznokciem! – głos mu się łamie, więc milknie, powstrzymując grymas szlochów.

– Proszę się uspokoić – mówi łagodnie major. – Nikt pana nie oskarża, po prostu musimy poznać szczegóły wydarzenia, trzeba nam dokładnie wszystko opowiedzieć.

– Zmieniłem kolegę o dziesiątej wieczorem. Zaraz po jego wyjściu jak zwykle zarygłowałem drzwi. O wpół do jedenastej zadzwoniono. Wyszedłem na korytarz i wyjrzałem przez wizjer. Pod drzwiami stał mężczyzna, pozdrowił mnie i zapytał, gdzie mieszka dyrektor banku. Podałem adres, wtedy on poprosił, aby określić bliżej, w jaki sposób ma znaleźć tę ulicę, ponieważ jest nietutejszy?

– Mógłby go pan rozpoznać?

– Nie jestem pewien... Nie widziałem dokładnie jego twarzy, był w czapce z daszkiem i stał w cieniu... Nie przyszło mi na myśl, że to podstęp, aby wywabić mnie z dyżurki... W pewnym momencie poczułem lufę pistoletu na karku... Nie spodziewałem się napaści od strony korytarza.

– Nie usłyszał pan żadnego szmeru? – dziwi się inspektor.

– Przyszli bezszelestnie, gdy tamten zajmował mnie rozmową. Nie miałem żadnych szans obrony. Rewolwer zostawiłem na stole w dyżurce i... oni go zabrali.

– Ilu ich było?

– Ja widziałem trzech... – określa ich sylwetki, rodzaj ubrania. Mówi również, jak wyjęto mu knebel, gdy już się dusił, i podano wodę. – Zatrościł się o mnie ten sam, co to rozmawiał ze mną przez wizjer... Potem miał na twarzy maskę, ale poznałem go po głosie.

– O której odszedł ten z korytarza?

– Mogło być przed drugą... Co ze mną będzie?

– Cóż – unosi brwi major – będzie dochodzenie w sprawie utraty broni. A teraz proszę iść do domu i odpocząć.

Oficerowie obserwują, jak podnosi się z miejsca, kłania się najpierw komendantowi, później majorowi. Mimo widocznego zmęczenia, przygnębienia i zwyczajnego ludzkiego lęku ten człowiek ma w sobie wiele godności.

– Co myślisz? – zagaduje komendant, mówiąc o strażniku.

– W tej chwili trudno ocenić – inspektor ostrożnie cedzi słowa. – Mogło być tak, jak mówi...

Do banku idą piechotą; major chce poznać i odtworzyć sobie ewentualną drogę rabusiów. Przechodzą nadrzecznym bulwarem z pięknie utrzymanym zieleńcem. W

perspektywie, na wzniesieniu, bieleje w słońcu romański kościół. Skręcają w przecznicę, mijają zabudowania browaru i przez mostek spinający kanał wychodzą wprost na dwupiętrowy dom banku, otoczony parkanem z siatki.

Na podwórzu, w cieniu rozłożystego klonu waruje duży, płowy pies-tropiciel. Obok siedzi plutonowy, jego przewodnik.

– Nie podjął tropu? – domyśla się inspektor.

– Niestety – plutonowy pręży się w postawie zasadniczej na widok komendanta. – Wszystko zalane benzyną lub smarami. Przezorni faceci, zabezpieczyli się przed psem... Musi trochę odpocząć – wyjaśnia gładząc grzbiet wilka – i spróbujemy jeszcze na szosie, może tam pochwyci woń.

Major wchodzi do budynku przez masywne drzwi, obite grubą blachą. Z wąskiego korytarza – tą samą drogą przechodzili rabusie po obezwładnieniu strażnika – dostaje się do kotłowni z zięjącym wyłomem staranowanego stropu. Zarówno drzwi zewnętrzne, jak i solidne drzwi, zamykające kotłownię, nie noszą śladów włamania.

– Piękna robota – podchodzi do niego technik. – Te zamki otworzył dużej klasy włamywacz.

– Co to za zamki?

– W drzwiach kotłowni zastawkowy, w zewnętrznych specjalny. Ten ostatni ma pięć zastawek!

Major w myśli wykonuje nieskomplikowane mnożenie: $1 \times 2 \times 3 \times 4 \times 5 = 120$.

– To znaczy – odzywa się po chwili – że istnieje sto dwadzieścia sposobów uszeregowania zastawek tego zamka i tyle trzeba mieć kluczy, aby go otworzyć...

– Teoretycznie tak – zgadza się technik – ale oni zrobili to inaczej. W zamkach są ślady cyny...

– Pasówka angielska – stwierdza inspektor. – Najpierw musieli zdjąć odciski zastawek na surowym kluczu, oblanym miękką cyną, a dopiero później opiłować, a nie obyło się też bez przymiarki. Najmniej trzy razy musieli przymierzać się do tych drzwi – głośno rozmyśla major.

Inspektor i komendant przechodzą korytarzem parteru i dalej do otwartego skarbcza; dyrektor, jego zastępca, skarbnik, kasjer główny i mąż zaufania oraz trzyosobowa komisja z banku wojewódzkiego kończą właśnie remanent i obliczanie strat.

– Skradziono piętnaście milionów osiemset dziewięćdziesiąt dwa tysiące złotych – przewodniczący komisji kładzie podpis pod raportem kasowym. – W tym piętnaście milionów w banknotach nowych, a osiemset dziewięćdziesiąt dwa tysiące w biletach, które były już w obiegu. Odnotowaliśmy serie skradzionych piętnastu milionów – podaje majorowi spis. – Natomiast numery banknotów pozostałej sumy ociera pot z czoła – nie są znane.

W skarbcu jest duszno, nad wszystkim dominuje odór benzyny.

Major łączy się z zakładem kryminalistyki w Warszawie. Informuje o wysłaniu funkcjonariusza, który doręczy w laboratorium spis zawierający numery zrabowanych pieniędzy.

Jeszcze tego samego dnia dokument ten, powielony w tysiącach egzemplarzy, otrzymują banki, poczty, placówki PKO, handel i gastronomia na terenie całego kraju. Zawiera on także wskazówki opracowane przez milicję, a dotyczące postępowania wobec osób, dokonujących wpłat lub transakcji pieniędzmi zastrzeżonych serii.

Major ponownie łączy się z Warszawą, teraz rozmawia z pułkownikiem Lisem.

– Heniek, zarządź sprawdzenie alibi włamywaczy na terenie całego kraju. Szczególną uwagę zwrócić na pasówkę angielską. Materiały, które przejdą wstępną selekcję, powinny być przesłane do mnie.... Warszawą i województwem zajmie się Cieślik i jego ludzie... Aha, dla porządku! W Warszawie i okolicznych powiatach trzeba sporządzić listę zgłoszeń o

kradzieży wozów. Brać pod uwagę zameldowania, jakie wpłynęły w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin.

– Już to zrobiłem. Też nie sędzę, aby napastnicy posługiwali się komunikacją państwową. To jasne! Mieli transport własny albo użyli do tego celu skradzionego samochodu!

Gdy inspektor powraca do piwnicy, brygada dochodzeniowa kończy już oględziny. Major jeszcze raz przygląda się zięjącej w suficie wyrwie o poszarpanych brzegach, z których zwisają, połamane niczym patyki, żelazne pręty zbrojenia.

– Zdawałoby się, że mocne sklepienie – komendant idzie za wzrokiem Korosza.

– Grubość sześćdziesiąt centymetrów. Ponad pół metra żelbetonu – informuje technik. – Wygniecione i rozdarte niczym papier. Musieli dostosować do wysokości piwnicy ramię podnośnika. Pomieszczenie ma dwa i pół metra wysokości... to też musieli wiedzieć przedtem...

– Z jaką siłą trzeba staranować ten rodzaj sklepienia, aby uzyskać takie efekty? – zastanawia się major.

– W każdym razie nie mniej niż dziesięć ton. Oczywiście podają to w przybliżeniu – zastrzega technik. – Dokładne dane określi ekspert po zbadaniu jakości i wytrzymałości tworzywa.

– Chciałbym znać rodzaj tego podnośnika – wzdycha major, rozglądając się po kotłowni.

– Nie zostawili nic, co mogłoby posłużyć jako indywidualny ślad... – technik urywa w pół zdania, ponieważ major ze zmarszczonymi brwiami wpatruje się w kąt piwnicy, gdzie leżą kawały blachy, żelastwa i kilka rozrzuconych desek.

– A to... co? – wskazuje kawałek brudnej tarcicy.

Technik podnosi grubą deskę, ogląda ją uważnie. Dłonią w gumowej rękawiczce ostrożnie strąca z niej odłamki betonu i wyciera węglowy pył. Wszyscy pochylają się nad kawałkiem drewna.

W miękkim sosnowym drzewie widoczne są wklęsłe linie.

– Var-sep... – sylabizuje technik. Czerwienieje po nasadę włosów i przygryza wargę.

Nazwa firmy produkującej lewary. Na tym drewnie musiała wspierać się podstawa podnośnika, a wypukły metalowy napis, umieszczony na jej odwrocie, niczym stempel odcisnął w miękkiej tarcicy firmowy znak.

– No, panowie – major rozkłada dłonie – jeżeli tak szukacie śladów, to nic dziwnego, że ich nie ma – nie może powstrzymać się od tej cierpkiej uwagi.

Oficerowie w milczeniu przyjmują naganę; rzeczywiście przeoczenie jest rażące, a w tych okolicznościach dotyczy niesłuchanie cennej informacji. Chcąc naprawić błąd i zatrzeć niemiłe wrażenie rzucają się do pozostałych desek. Jeszcze jedna z nich nosi podobną pieczęć.

– Porozmawiamy sobie o tych oględzinach, panowie – cedzi komendant wściekły za tę kompromitację przed oficerem z centrali.

– Bandyci również popełnili błąd – wtrąca pojednawczo major. – Pozostawili wcale dokładną wizytówkę. Trzeba to natychmiast przekazać do zakładu kryminalistyki, niech zbadają napisy. Sądząc na oko, są identyczne, ale mogą pochodzić od dwóch różnych lewarów tej samej marki.

– To znaczy jednak, że ich informacje o wysokości kotłowni nie były zbyt precyzyjne – zauważa komendant – i wsporniki okazały się za krótkie. Nie przewidzieli tego, więc ze znalezionych tu desek zaimprovizowali postument, który podłożyli pod podstawę podnośnika.

W komendzie powiatowej oczekuje ich podekscytowany dyżurny.

– Szefie, Ziętek płacił w gospodzie nową pięćsetką – melduje.

– To ten nasz jedyny włamywacz – objaśnia komendant. – Dawaj go tutaj – poleca dyżurnemu.

Zabrany złodziejowi banknot, zabezpieczony w przejrzystej kopercie z folii, leży już na biurku komendanta razem z lakonicznym meldunkiem, omawiającym okoliczności, w jakich został zakwestionowany. Są banalne.

Ziętek przyszedł do gospody i zamówił butelkę koniaku. Ponieważ jego żądanie było niezwykle – powszechnie znano jego profesję i nader skromne dochody z dorywczych prac – więc bufetowa, zanim spełniła zamówienie, przezornie poprosiła o natychmiastowe uregulowanie rachunku. Wówczas złodziej zaszeleścił przed jej oczyma nowiutkim banknotem. Pełniący tam służbę wywiadowca z województwa zatrzymał Ziętka i pieniądze. Major jeszcze raz z niedowierzaniem, czy to nie przewidzenie, porównał serię pięćsetki ze spisem przekazanym przez bankowców. Nie, to nie było złudzenie, numeracja banknotu figuruje rzeczywiście w wykazie zrabowanych pieniędzy.

– Nic nie rozumiem – major wymownie spogląda na komendanta. – Taka precyzja... – ma na myśli sposób włamania do banku – i taki prymitywny współnik, pchający się ze skradzionymi pieniędzmi do knajpy już w kilka godzin po napadzie?

– Niewiarygodne, Ziętek nie jest sprawcą – potrząsa głową komendant. – To jakieś nieporozumienie.

Łączy się telefonicznie z bankiem, jeszcze raz konfrontuje spis. Nie ma omyłki, ten banknot należy do zrabowanej serii.

– No, to mamy przestępcę! – parska odkładając słuchawkę. – A jednak to niemożliwe, ja znam możliwości tego drobnego partacza. Żaden szanujący się złodziej nie wda się z nim w konszachty.

– Fakt jest zaskakujący, ale nie przestaje być przez to faktem – mówi major.

Ziętek nie posiada przy sobie innych pieniędzy, jeśli, nie liczyć garstki bilonu, natomiast w czasie rewizji, przeprowadzonej natychmiast w jego mieszkaniu, wywiadowcy znajdują jeszcze trzy banknoty, po pięćset złotych każdy, ukryte w dość nieskomplikowanym schowku, bo wetknięte za oleodruk, przedstawiający Marię Magdalenę. Również i te pieniądze należą do zrabowanych w banku.

Niespodziewanie dla nikogo Ziętek staje się najważniejszą osobą dnia. Jeszcze nigdy nie odnoszono się do niego w komendzie z takim szacunkiem. Przy takim rozwoju wydarzeń prokurator bez oporów zatwierdza przeprowadzoną przez milicję rewizję oraz daje sankcję na zatrzymanie Ziętka.

Stary złodziej przebywa więc w areszcie, a major z komendantem przygotowują się starannie do przesłuchania zatrzymanego.

Jednak komendant w dalszym ciągu nie wierzy w bezpośredni udział Ziętka w napadzie na bank. Oprócz owych czterech banknotów, odkrytych u niego, nic więcej nie znaleziono. Ani śladu broni czy też narzędzi, użytych podczas napadu i włamania. Rewizje u jego rodziny i znajomych również nie przynoszą żadnych rezultatów.

Skąd jednak ma te banknoty, które niewątpliwie pochodzą z łupu zrabowanego w banku?

Ziętek, niski, chudy, wprowadzony przez profosa aresztu, nisko kłania się komendantowi i niespokojnie zezuje w stronę majora. Wyraźnie niepokoi go obecność nieznanego cywila, asystującego przy przesłuchaniu.

– Za co mnie trzymacie? – jęczy płacząco.

– Skąd masz te pieniądze? – komendant demonstruje banknot w plastikowej kopercie. – I tamte półtora tysiąca?

– Te półtora to pierwszy raz widzę – wydyma usta złodziej.

– Były za obrazem u ciebie w domu.

– To pewno moja stara zachomikowała przede mną – odpowiada bez namysłu.

Ziętek, mówisz prawdę albo wracasz na dół. Masz do namysłu całe trzy miesiące – podsuwa mu przed oczy nakaz aresztowania, podpisany przez prokuratora.

– Panie komendancie, za co?! – jego wielkie czoło marszczy się jak u noworodka. – Ja nic nie zrobiłem.... Już dwóch tysięcy nie można mieć w domu? Tego, schowałem przed moją...

– Skąd je masz? – nie ustępuje komendant.

– Eee... bo to taka nieprawdziwa heca, że sam bym nie uwierzył, pan komendant zaraz znów zakrzyczy, że kłamię, albo i co gorsza obrazi się na mnie... Widzi pan, wczoraj trafiłem na swój dzień i załapałem trochę grosza, bez gipsu, u doktora w ośrodku partaninę miałem, można sprawdzić... no, to po robocie wypilem sześć owocaków. Nawet nie byłem pijany, tylko taki kozłowaty, ale skończyły mi się pieniądze i zostało tylko trochę niklu, no to poszedłem spać. Ale nad ranem kac mnie za włosy podnosi... wie pan, dygotki i suszy... po owocowych to zawsze tak. To się zwlokłem i po domu markuję, życie bym oddał za uczciwą setę, butelki targam i krople do szklanki osączam, żeby choć łyk uzbierać, ale gdzie tam, z pustego to i Salomon... Płakać mi się chciało.

– Ziętek, do rzeczy!

– Wciąż mówię do rzeczy, żeby mnie wietrzna ospa poraziła! – stuknął się w kurzą pierś – ...i raptem słyszę w tym strapieniu, jak jakiś głos od ulicy woła: – Ziętek, Ziętek! Ki diabeł? pomyślałem, może który z kumpli, też po przepiciu, po świecie, jak dusza czyścowa, się barłoczy? Wyskoczyłem z domu, ale nikogo... Strach mnie obleciał, że już zwidy w słyszeniu mam, ale jeszcze rozejrzałem się i aż do furtki wyszedłem. Pusto, wokół ani żywego ducha, tylko ptaszki drą się, że aż łeb roznosi... Z rozpaczą ciągnę się do domu, myślę, jak chociaż łyka nie zdobędę, to już uświerknę, aż potrafiłem nogą jakiś papier. Patrzę i oczy przecieram, a to... cztery brązowe papierki z górnikiem. Podziękowałem Bogu... resztę to już pan wie.

– Aha, ostatnio ci Bozia w ogródku pieniądze rozsiewa – kiwa głową komendant.

– A nie mówiłem, że pan nie uwierzy – z wyrzutem kwili złodziej.

– Słuchaj, te pieniądze zrabowano w banku – akcentuje komendant. – Ten skok będzie kosztował co najmniej dwadzieścia pięć lat. Radzę ci, lepiej powiedz, od kogo i za co otrzymałeś te banknoty.

– W banku! – z wrażenia zaokrąglają się złodziejowi oczy. Milknie, posępnieje, jeszcze bardziej maleje, kurczy się. Medytuje nad czymś, marszcząc czoło, kaprawe oczka biegają niespokojnie od komendanta do inspektora.

– Ja nie mam z bankiem nic wspólnego – odżegnuje się stanowczo – ...ale to pasuje do Osękowskiego – tak nazywa się strażnik, którego sterroryzowano w banku.

– Co do tego ma Osękowski? – komendant mierzy go groźnym spojrzeniem.

– Tak mi się coś wydaje, że to był jego głos – mruczy złodziej. – No, ten, co wołał: Ziętek, Ziętek...

– Chcesz zrobić Osękowskiego – kiwa głową komendant. – Ale widzisz, on ma murowane alibi. Nad ranem, choćby chciał, w żaden sposób nie mógł być pod twoim domem.

– Może ktoś ma głos podobny do niego – kręci złodziej.

– Chce się zemścić na strażniku – szepcze komendant inspektorowi. – Ostatnio, gdy próbował kraść w browarze, nocny stróż spał, zauważył go Osękowski z dyżurki banku. Później był świadkiem na jego sprawie.

Dalsza rozmowa z Ziętkiem nie wnosi nic nowego. Wprawdzie włamywacz nie pomawia już strażnika o podrzucenie mu pieniędzy, ale uparcie twierdzi, że znalazł je na swoim podwórku.

Późnym wieczorem major wraca do Warszawy. Zastanawia się, czy niepokoić szefa, ale pułkownik Lis sam przychodzi, gdy tylko inspektor pojawił się w komendzie. Uważnie wysłuchuje sprawozdania Korosza.

– ...Dzień wybrali bardzo precyzyjnie. Do banku dostarczono transport pieniędzy. Oczekali jeden dzień, aż do skarbcza wpłynie również nieco gotówki w starych banknotach. Zwróć na to uwagę: banknoty przywieziono już w piątek, a napadu dokonano dopiero w sobotę. Sobota była pod każdym względem dniem najbardziej odpowiednim. Zastępca dyrektora wyjeżdża zazwyczaj tego dnia do Warszawy, a w całym budynku pozostaje tylko strażnik. Również zabawa w browarze była okolicznością sprzyjającą. Głośna orkiestra zagłuszała ewentualne odgłosy z banku – kończy major.

– Jakiego typu są sejfy? – interesuje się Lis.

– Pancerze stalowe, żaroodporne. Grubość ścian jeden centymetr. Czy już zrobiono ekspertyzy desek, które przysłałem w południe?

– Tak – odpowiada Lis. – Rabusie operowali dwoma podnośnikami... Słuchaj, Andrzej, masz rację, że oni mieli znakomitą orientację w rozkładzie całego budynku. Wiedzieli dokładnie, nad jakimi pomieszczeniami znajduje się skarbiec, a przede wszystkim znali rozmieszczenie instalacji elektrycznej i systemu alarmowego oraz źródło energii, zasilające te urządzenia. Być może, działał wśród nich ktoś, kto te urządzenia zakładał albo projektował, a może tylko nadzorował instalowanie?

– Pomyślałem o tym – przyznaje Korosz – wziąłem wszelkie dostępne dokumenty. To znów zadanie dla Cieślika. Musi przyjrzeć się ludziom z tego przedsiębiorstwa budowlanego, poczynając od głównego projektanta, a na ostatnim ciurze kończąc.

Viola d'amore

Młoda dziewczyna zręcznie formuje maleńkie kanapki; na kęsach bułki, rogalików i razowego chleba rozgniatą jednym pociągnięciem stalowej łydki masło, nakłada plasterki wędlin, skrawki sardynek, koreczki lub odrobinę lśniącego czarnego kawioru. Z wprawą garmazera komponuje przybrania z płatków cytryny, jajka, różnych jarzyn, garniruje sztukaterią z kremowego majonezu. Na kilku półmiskach z rosenthalowskiej porcelany rosną sterty mikroskopijnych arcydzieł, których zjedzenie zabierze znacznie mniej czasu niż ich przygotowanie.

Dzwonek telefonu odrywa dziewczynę od tego zajęcia.

– ...będą około siódmej – odpowiada komuś na drugim końcu przewodu – ...domyślam się, czego potrzebujesz... dobrze – zgadza się bez entuzjazmu – możesz przyjść wcześniej...

Sprawdzając czas na antycznym zegarze, ustawionym na konsoli w małym hallu, wraca z powrotem do kuchni. Przygotowane przekąski, zapasy różnych trunków i stos nakryć zanosi na górę po wypolerowanych jak lustro schodach z czarnego dębu. Wreszcie może odwiązać fartuch i ściągnąć gumowe rękawiczki. Z niepokojem ogląda swoje piękne ręce; ale oględziny wypadają zadowolająco, skóra jest gładka, a perłowy lakier, pokrywający długie paznokcie, nie odprysnął w żadnym miejscu.

Ubiera się w czarny kostium z delikatnego aksamitu. W wycięciu gorsu pieni się biały żabot, pokryty bogatym ręcznym haftem, na przeguby dłoni opadają pyszne mankiety z takiej samej koronki.

Z przedpokoju dobiega słowo wypowiedziane niskim, męskim głosem:

– Viola d'amore! – po chwili powtórnie: – Viola d'amore! – i jeszcze raz pada nazwa starego instrumentu muzycznego.

Dziewczyna uśmiecha się do siebie i śpieszy na korytarz, w którym nikogo nie ma. Przekręca klucz i zwalnia łańcuch, zabezpieczający drzwi.

Do środka wchodzi ciemnowłosy, mocno zbudowany mężczyzna. To jego głos rozbrzmiewał przed chwilą tak wyraźnie we wnętrzu domu, chociaż przybysz stał na zewnątrz.

W grubych, dźwiękochłonnych poduchach, opatulających wejście, jest ukryty bardzo czuły mikrofon, dlatego też słowa wypowiedziane po tamtej stronie rozlegają się donośnie wewnątrz mieszkania.

– Kto wymyślił to kretyńskie hasło? – pyta przybyły zamiast powitania.

– Bankier, a któż by? Instrumenty muzyczne to jego hobby, więc stąd te skojarzenia. Ale sygnał nie gorszy niż inne i ładny...

– Z każdym dniem jesteś piękniejsza – przygląda się jej ze szczerym zachwytem.

– Pochlebca – mówi odbierając od niego płaszcz. – Usiłujesz usposobić mnie przychylnie – dodaje prowadząc go na piętro. Nie może jednak oprzeć się pokusie, aby nie rzucić przelotnego spojrzenia w ogromne lustro w ciężkiej, złoczonej ramie, zawieszone w hallu.

– Wadera, w tobie jedyny ratunek! – apeluje gorąco przybyły, rozsiadając się w pokoju na górze; to imię stanowczo nie pasuje do jej wyglądu. Nie ma w niej nic drapieżnego. Szczupła, drobna, bardzo kształtna; ciężkie, złotopopielate włosy, upięte w węzeł na karku. Gęstwa niesformnych kędziorków otacza twarz, złocistą w karnacji, idealnie gładką, jak twarz dziecka. Również dziecięcy wyraz, trochę jakby zdumiony, mają oczy, bardzo błękitne, nieco nazbyt wypukłe, z tęczęwkami jak dwa kawałki bardzo niebieskiej porcelany.

Wadera, bujając stopą, z uwagą przygląda się refleksom światła na nosku modnego lakierka.

– Ile i na jak długo? – pyta rzeczowo, przenosząc na niego spojrzenie.

– Na jakieś... dwa tygodnie – cedzi powoli słowa, badając wzrokiem jej łagodną twarz, nieco przechyloną ku niemu. Chciałby w niej wyczytać wysokość sumy, którą mógłby wymienić. Mimo woli narasta w nim rozdrażnienie i niechęć do dziewczyny za to zachowanie, podkreślające, jak bardzo jest w tej chwili od niej uzależniony. – Dwieście tysięcy... – mruży wreszcie, odwracając od niej głowę.

Zamiast odpowiedzi Wadera gwizdże przeciągle z wprawą łobuziaka. Znów na moment pogrąża się w kontemplacji swego lśniącego pantofelka.

– Rajfel – zaczyna wreszcie – wprawdzie to nie moja sprawa, ale podobno jesteś winien jednemu z gości sto tysięcy... Nie wspominałabym o tym, jeśli jednak mam zostać twoim wierzycielem, sam rozumiesz!

– Jestem winien sto tysięcy Bankierowi, czyli Zakrzewskiemu – podkreśla to nazwisko z naciskiem. – Zresztą nie udawaj, że nie wiesz komu...

– Tylko Zakrzewskiemu? – pyta niedbale i strzepuje jakiś niewidoczny pyłek ze śnieżnego mankietu.

KONIEC BEZPŁATANEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI